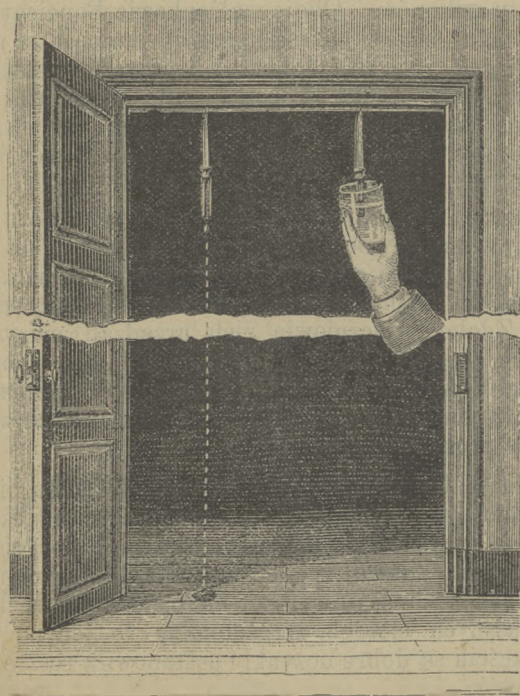


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Siła ciężenia ulega prawom, które nauka z matematyczną ścisłością obliczyć i określić umie. Głównem i najwa-

żniejszym prawem jest to, że wszystkie ciała przyciągają się wzajemnie w kierunku swoich środków ciężkości, nigdy na włos od niego nie zbaczają. Każdy przedmiot spada na ziemię tą drogą, która prowadzi prosto do jej środka, drogę tę nazwano linią pionową. Nic łatwiejszego, jak znaleźć odrazu kierunek pionu; ciężarek jakkolwiek dość jest zawiesić w tym celu na nitce, podnieść koniec nitki, a ciężarek z największą dokładnością przybierze kierunek pionu, to jest zwróci się prościuteńko do środka ciężkości ziemi.

Wykazuje to ciekawym, dotykającym przykładem doświadczenie, na rysunku naszym przedstawione. Nóż z grubym trzonkiem wbija się ostrym końcem w odrzwi u góry, trzonek zaś macza się w szklance z wodą. Spadające z niego na ziemię kropelki wody oznaczają najdoskonalej linią pionową, nóż nie może inaczej upaść, tylko trzonkiem swym uderzy w to samo miejsce, co i kropelki wody. Otóż w tym miejscu kładzie się orzech, potem silnie uderza się w odrzwi pięścią. Nóż natychmiast spada, trafia trzonkiem w orzech i rozbija go wybornie, jak dziadek. Niezwykły to jest i zabawny sposób tłuczenia orzechów, który polecamy czytelnikom dla jego cechy naukowe. Można zresztą zamiast noża, z którym igraszki są zawsze cokolwiek niebezpieczne, użyć do tego innego jakiego ciężarku, wynalazłszy łatwy sposób uciepienia go do odrzwi.

PODANIA LUDOWE

p. M. Zielińską.

Charybda.

W sycylijskiej cieśninie Calofaro istnieje jak wiadomo straszliwy wir morski, który pociąga ku sobie i pochłania cokolwiek doń się zbliży na swe nieszczęście. Wir ten starożytni nazwali Charybdą i swoim zwyczajem usnuli sobie bajkę, że Charybda była to córka ich bóstw pogańskich, Neptuna i Gei, kobieta okropnie żarłoczna i za brzydką tę wadę została przez Jowisza zabita piorunem, a za karę wrzucana do morskich odmętów, gdzie siedząc w głębinie broi dalej po swojemu, pochłaniając ludzi, i łodzie z ludźmi, i całe nawet okręty. Chcąc uniknąć nienasyconej paszczy tego potworu, żeglarze, zmuszeni przepływać cieśninę Calofaro, stawali się jak najdalej omijać wir nieszczęsny, lecz zdarzało się wtedy, że krążąc w wązkiej cieśninie, natrafiali na skały podwodne, zwane wówczas Scylla a dzisiaj La Rema, i rozbijali na nich swe statki. Ztąd powstał sposób mówienia o kimś, komu grożą dwa przeciwne sobie niebezpieczeństwa, że znajduje się pomiędzy Scyllą a Charybdą, bo chcąc uniknąć jednego złego, może wpaść w drugie.

Oczywiście straszna a tajemnicza ta przepaść, połykająca okręty, zarówno niepokoiła zawsze jak i zaciekaiała ludzi, aż podobno jeden król sycylijski postanowił ją zbadać koniecznie, przypuszczając, że poznawszy złego przyczynę, znajdzie się może sposób, aby mu zaradzić. Ogłosił tedy wielkie nagrody dla dzielnego nurka, któryby się odważył dobrowolnie zapuścić w część morza jaknajbliższą wiru i zbadawszy jego przyczynę, opowiedział ją królowi. Zbiegli się nurkowie z całego świata, a im który z dalszych był okolic, tem chyżej dążył, bo mniej znał straszną Charybdę, ale przybywszy na miejsce i przyjrząwszy się wirowi ze szczytu pobliskich skał, ochotnicy stracili odwagę i ani jeden nie pokusił się o nagrodę. Naprawdę król zwiększał i podwyższał dary swoje, naprawdę wkońcu przyrzekał śmiałego nurka następcą swoim na tronie sycylijskim uznać. Nic nie pomagało, bo każdy z wyzowanych odpowiadał głośno:

— Co mi z tronu, kiedy nie osiągnę go, bo jeżeli zbliżę się do wiru tak, żebym go mógł zbadać, to on mię z pewnością pociągnie ku sobie i pochłonie.

Zdawało się, że nie znajdzie się taki śmiałek na świecie, aby chciał badać tajemnicę od początku świata przed ludzkim okiem ukrytą, gdy wtem król wpadł na nowy pomysł: wywiódł z głębi pałaców swoich przesłiczną córkę jedynaczkę, posadził ją u boku swego na skale, wznoszącej się nad wirem Charybdy i zawołał:

— Rękę córki mojej otrzyma ten, kto zbada tajemnicę przepaści Charybdy!

Królownie żal było serdecznie tego, kto miał życie narażać, ale niemniej żal jej było i licznych ofiar, jakie Charybda pochłaniała bezustannie mimo wszelkich ostrożności, i miała także nadzieję królowna, że zbadać przepaści poda sposób, jakby ją nieszkodliwą uczynić, więc ze łzami w oczkach potoczyła dziewczeczka błagalnym po otaczających spojrzaniem. I oto zmieniło się wszystko, kto żył skoczył ku przepaści, gotów ginąć na żądanie królowny.

— Stójcie! — zakrzyknął król — nie możecie iść wszyscy, niech idzie jeden.

Staną na rozkaz królewski i znowu ruszyli naprzód wszyscy, bo każdy chciał być tym jednym, lecz na rozkaz króla musieli stanąć znowu.

— Co czynić? — rzekł król do córki — nie chcę, aby ginęło tylu dzielnych, czego jeden nie dokaże, nie dokaże stu, któregoż wybrać?

— Ten pójdzie, który pochwyti ten kwiatek — rzekła głośno królowna i wyjąwszy gałązkę pomarańczowych kwiatków z warkocza, rzuciła ją w tłum dzielnych pływaków.

Rzucili się chwytać kwiatek, jak stado ptactwa rzuca się na ziarnko, chwycił najdzielniejszy i skoczył w morze. Wszyscy odkryli głowy, stając nieruchomi i cisza zaległa uroczysta, Śmiałek znikł, dając nurka w pobliżu przepaści, a po niejaki chwili ukazał się w samym środku wiru, jakby wypchnięty zeń w górę siłą potężną, w ręce wzniesionej trzymał kwieciastą gałązkę. Powitał go okrzyk radosny, ale w tejże chwili pływak zapadł napowrót, pochłonięty przez tę samą siłę, która wyrzuciła go poprzednio. Znikł i nie ukazał się więcej. W grobowym milczeniu stali wszyscy aż do następnego wschodu słońca, a potem rozeszli się cicho i nigdy już król potężny nie pokusił się więcej na zbadać tego, co Stwórca zakrył przed ludzkim okiem.

KSIĘGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Wypisujemy tu dosłownie prawie ustęp z korespondencji z Paryża pani Seweryny Duchinińskiej do „Kroniki Rodzinnéj”.

Czterdzieści lat temu w cichej dzielnicy Paryża, oddzielonej Sekwaną od błyszczących i gwarnych bulwarów, od pałaców monarszych i innych ognisk, skupiających w sobie życie wielkiego miasta, przy rogu ulicy Bac i Sèvres był mały, ubogi sklepik bławatny o dwóch niewielkich oknach. Tu od rana do zmroku sprzedawała drobne przedmioty uprzejma i skrzętna panienka, a obok rozwijał i mierzył bławatne i wełniane tkaniny młody Arystyd Boucicaut, pomocnik właściciela. Trwało to lat dziesięć. Młodzi ludzie, pracując razem, mieli sposobność poznać się i ocenić; ubodzy, lecz ufni w przyszłość, pobrali się nakoniec.

Za pożyczoną sumkę młoda para nabyła na własność skromny ten sklepik. Dzięki żelaznej energii i uczciwości obojga, handel ich rozwinął się szybko, z roku na rok wzrastał w zamożność, obejmował coraz to szerszą przestrzeń, aż po latach trzydziestu ów ubogi sklepik zamienił się w gmach olbrzymi, skromna dawniej firma obracała teraz rocznie sumą dwustu milionów. Oboje małżonkowie Boucicaut, ludzie pobożni, pełni miłości chrześcijańskiej, uważali za najpierwszy obowiązek zapewnić dobrobyt i przyszłość spokojną pomocnikom, których liczba ustawicznie wzrastała; przede wszystkim zaś pragnęli podnieść ich pod względem moralnym i umysłowym. „Bóg nam pobłogosławił, mówili, uczynimy też coś dla innych”.

Rozciągnięto tedy pilną opiekę nad młodzieżą, pełniącą służbę w magazynie, przeznaczono kilka sal na zebrania wieczorne; w jednej odbywały się lekcye fechtunku, w innej lekcye muzyki i śpiewu, w innych znów wykłady obcych języków. Zdolniejsi uczniowie zimą urządzali muzyczne wieczory. W osobnej sali założono znów dobrze zaopatrzoną bibliotekę. Oprócz tego ustanowiono kasę oszczędności, towarzystwo wzajemnej pomocy, każdemu z pracujących wyznaczono pewien procent od sprzedanych towarów.

Lecz jakby dla pokazania ludziom, że cnota nie zawsze w tem życiu bywa wynagradzana, po dwudziestu kilku latach, gdy zakład przyszedł do pełnego rozkwitu, założyciel umarł, a w rok po nim poszedł syn jedyny. Wdowa, mężna niewiasta w całym znaczeniu tego wyrazu, nie upadła na duchu po takich strasznych ciosach, zrozumiała, że jedyną pociechą w nieszczęściu są dobre uczynki i postanowiła resztę życia na to poświęcić.

Najpierw tedy wszystkich zamożniejszych pracowników swego zakładu, zwanego magazynem tanim, (Bon Marché) przypuściła do współki, ażeby mieli także same zyski, jakie ją wraz z mężem doprowadziły do wielkiego majątku. Olbrzymi sklep przeszedł tym sposobem w ręce trzystu współwłaścicieli, którzy się rządzą zgodnie, jakby stanowili małą rzeczpospolita. Z własnych funduszków pani Boucicaut za-

częła zakładać i uposażać różne dobroczynne instytucje. Między innymi w ładnej miejscowości Fontenay au Roses pod Paryżem, gdzie z mężem lato spędzała, założyła dom przytułku dla starców. W rodzinnym swym miasteczku Verjux w Burgundji zbudowała i uposażyła dwie szkoły, dla chłopców i dziewcząt. W Belleme, rodzinnym mieście męża, przeznaczyła fundusz na czterdzieści łóżek w szpitalu. Kosztem jój postawiono na Sekwanie most za 600,000 fr. aby ułatwić przejazd okolicznym włościanom.

W Grudniu roku ubiegłego pani Boucicaud zachorowała, wyjechała na południe, do Cannes, lecz w parę dni po przybyciu życie zakończyła. Zwłoki jój przewieziono do Paryża i pochowano przy współudziale tłumów publiczności, gdyż nieboszczkę znali i poważali wszyscy. Prezes komitetu zarządzającego zakładem Bon Marché, w pięknej mowie pogrzebowej wyrzekł te słowa tak prawdziwe:

„Szlachetna ta kobieta rozumiała, że najwyższą rekojmią szczęścia jest poświęcenie się dla innych” a na zakończenie dodał: „Żegnamy cię, pani; świat nie mógł cię wynagrodzić, idź do Boga po wiekiustą koronę.”

Po pogrzebie otworzono testament, a chociaż ogromny majątek pani Boucicaud znany był powszechnie, osłupiał jednak Paryż cały, gdy wymieniono bajeczną prawdziwie cyfrę, do stu milionów dochodzącą. Wszystko to zmarła przeznaczyła na uczynki dobroczynne, na rozmaite pożyteczne instytucje. Najpierw cały zakład Bon Marché, który zawsze jeszcze w znacznej części do niej należał, przekazała na własność owym trzystu stowarzyszonym. Potem wszystkim pracownikom zakładu, począwszy od nauczycieli do tragarzy i chłopców posługaczy, a naliczono ich wszystkich 3,730 osób, zapisała znaczne pieniężne datki, od tysiąca do dziesięciu tysięcy fr. wynoszące. Innych zapisów niepodobna wyliczyć, domy przytułku, stowarzyszenia robotnicze, szpitale, ochrony, wszystkie prawdziwie pożyteczne zakłady skorzystały z hojności téj chrześcijańskiej magnatki

PODRÓŻ MOJA NA WAKACYE.

(opisał WŁADYŚ KOMINIARCZYK).

Skończył się nareszcie rok szkolny i nastąpiła błoga i dawno oczekiwana chwila wakacyj. Za dwa dni mieliśmy wyjechać na letnie mieszkanie do Ojcowa, wioski położonej w górzystej okolicy pod Krakowem. W domu hałas, nieporządek, bieżąca, wszyscy zajęci pakowaniem kufrów, walizek, tłumoków, koszy, a przeważnie gospodyni nasza niecierpliwie krząta się pośród porzucanych na ziemi rzeczy. Opróżniają się komody i szafy, a napełniają kufty i walizki. Gospodyni przygotowuje butelki do soku, na różnie piecze się cielęcina, a ja i mój starszy braciszek, Julcio, przygotowujemy książki na wyjazd, tylko mój najmłodszy braciszek, Stefcio, skacze sobie wesoło po pokojach i pakuje swoje zabawki. Najstarszego brata mego Miecia niema w domu, gdyż jest zajęty załatwianiem sprawunków dla ojca.

Gdy już wszystko było zapakowane, nawet serdelki, cielęcina, masło, ser i wódka w koszyku na drogę, wybiła dwunasta godzina i wszyscy, napiwszy się herbaty, nie rozbierając się, położyliśmy się spać. Całą noc nie mogłem zasnąć, a ciągle myślałem o lubym Ojcowie i o przyjemnościach, jakich miałem niezadługo doznawać. Zaledwie zaczęło świtać, obudziłem się i stanąwszy koło okna, długo się przypatrywałem rosnącym w ogrodzie drzewom, z którymi wkrótce miałem się pożegnać. Potem pobudzili się wszyscy i byliśmy już gotowi do wyjazdu, gdy jednocześnie posłyszeliśmy przed domem turkot dorożki, która miała nas odwieźć na koleję. Z moim starszym braciszkiem Julciem, nie zapomniawszy o zapakowanych książkach, pierwsi wbiegliśmy do dorożki i czekaliśmy na przyjsie pozostałego rodzeństwa. Na-

koniec wnieosno rzeczy do dorożki, ojciec kazał zamknąć mieszkanie, i nie tracąc czasu, ażeby się nie spóźnić na koleję, wyjechaliśmy z domu.

W drodze myślałem o Ojcowie, górach, lasach, o Prądniku, gdyż jeżdżąc w te strony już siódmy raz, znałem w nich każdy zakątek prawie na pamięć. Przyjechaliśmy na koleję i niecierpliwie wyczekiwałem na odejście pociągu. Chwile oczekiwania wydawały mi się teraz niezmiernie długie. Nareszcie na zegarze kolejowym wybiła 6-a godzina, o której pociąg miał odchodzić z Warszawy. Zawszą ciskał się tłum ludzi i my też z nimi podążyliśmy do wskazanego przez konduktora wagonu. Dopiero dostawszy się tam, czułem się swobodnym. Uderzył trzeci drzwonek, dał się słyszeć świst lokomotywy i pociąg ruszył. Długo patrzyłem przez okno na znikające przed oczyma memi okolice, aż nakoniec znużony zasnąłem. Dopiero przebudziłem się na stacyi Skierniewice i przetarłszy oczy zobaczyłem przed sobą ojca i braci wraz z gospodynią, którzy po niewyspanej nocy smacznie sobie zajadali. Ja też poszedłem w ich ślady i posiliwszy się trochę, począłem wyglądać przez okienko od wagonu. Lasy, pola, gdzieniegdzie porzucane gromady chałup, widniejąca w oddali wieża kościołka wiejskiego, pasące się krówki na polach, a przy nich pastuch z pasterką, wesoło przygrywający na fujarce, wszystko zdawało mi się uciekać przedemną. Tak byłem zajęty temi piękniemi widokami, iż nie spostrzegłem kiedy przybyliśmy na stacyą Strzemieszyce, z kąd mieliśmy jechać furmanką przez Olkusz do Ojcowa.

Zaraz zabrawszy z wagonu nasze rzeczy wysiedliśmy na stacyą, gdzie już na nas czekały furmanki. Ojciec kazał nastawić samowar, napiliśmy się herbaty, wsiedliśmy na wózki i ruszyliśmy w dalszą drogę. Ja wsiałem na kozioł i gdzie była trochę równiejsza droga, dawał mi woźnica pozwolić, co sprawiało mi prawdziwą przyjemność. Ujechawszy blisko wiorstę, zauważyliśmy, iż niebo poczęło się pokrywać czarnemi chmurami, zerwał się silny wiatr, gałęzie z hukiem łamały się i padały na ziemię, a piasek walił nam prosto w oczy. Ojciec kazał woźnicy popędzać konie, ażeby ukryć się przed burzą w pobliżkiem miasteczku, zwanem Sławkowo. Jeszcześmy mieli przed sobą spory kawałek drogi, gdy lunął rzęsyty deszcz, połączony z grzmotami i błyskawicami. Im prędzej jechaliśmy, tem burza coraz więcej się powiększała. Wtem, ku wielkiej naszej radości, ukazała się nam wieża Sławkowskiego kościołka, a potem i całe miasteczko. Niezadługo, zmęczeni podróżą, zmoczeni prawie do suchej nitki, dostaliśmy się do żydowskiej karczemki. Woźnice poszli do karczmy na wódkę. Myśmy się trochę wysuszyli, deszcz przestał padać, więc tylko czekaliśmy na powrót woźniców, ażeby nie tracąc czasu ruszyć w dalszą drogę. Lecz ich jak nie widać, tak nie widać. A tu już przeszła godzina, nareszcie dobrze podchmieleni powracają.

Ojciec, zobaczywszy ich podchmielonymi, rozgniewał się bardzo na nich i zapowiedział, iż dalej z nimi nie pojedzie. Tedy jeden z nich rzekł: „A dyć my z pseproseniem caluško wielmożnego pana na miejsce dowieziewa”. Ojciec nateraz kazał woźnicom zaprzęgać konie, lecz zapewnił ich, że tylko do Olkusza nas zawiozą, a od Olkusza najmie ojciec inne furmanki. Woźnice, chociaż niezadowoleni tym wyrokiem, jednak zaprzęgli konie i pojechaliśmy dalej po mokrej od deszczu drodze. Nie ujechaliśmy jeszcze pół wiorsty od Sławkowa, gdy oś u wozu, na którym jechaliśmy, łamie się i o mało nie wypadliśmy z wozu na ziemię. To nieszczęście dało się jako tako naprawić, tak iż pod wieczór przyjechaliśmy do Olkusza. Zajechaliśmy do zajazdu, będącego własnością olkuskiego obywatela Chmielewskiego. Ojciec wynajął numer w zajęzdzie, ażeby tam przenocować i nazajutrz rano wyjechać ztamtąd do Ojcowa. Woźnicom zaś polecił znieść z wózków rzeczy i przytem zapłacił im należne pieniądze. Pierwszą rzeczą było przebrać się i przygotować jakikolwiek posiłek.

Gospodyni nasza zajęła się przygotowaniem kolacyi, a my tymczasem z ojcem poszliśmy odwiedzić naszych zna-

jomych, państwa Z. Niedługo tam zabawiliśmy i w niespełną godzinę wróciliśmy do zajazdu na przygotowaną kolacją. W czasie kolacji zjawiał się żyd Lejzor, znany w całym Olkusz, żyd ten czatuje na przyjeżdżających gości, i proszony czy nie proszony, ofiaruje swe usługi. Tak też i do nas przyszedł w tym celu, gdyż się dowiedział przebiegły żydek od właściciela zajazdu, że potrzebujemy na jutro koni do Ojcowa. Wszedłszy we drzwi, ukłonił się nisko i rzekł: „Wieczór dobry, powitać wielmożnego pana, dawno nie widzianego, czy będę mógł się czem przysłużyć wielmożnemu panu?” Ojciec, znając go oddawna, że się dobrze ze sprawunkami załatwia, rzekł: „Potrzebne mi są na jutro konie, więc mi, mój Lejzorze, obstalujcie je”. Żyd ukłonił się nisko i odezwał się: „Konie, konie, zaraz dla wielmożnego pana będą konie, a może co jeszcze załatwić”. Nie trzeba, odpowiedział ojciec, i żyd, powtórnie ukłoniwszy się, wyszedł.

Po kolacji położyliśmy się natychmiast spać, bośmy byli bardzo zmęczeni. Spaliśmy tej nocy bardzo dobrze. Gdyśmy się rano przebudzili, już stały przed zajazdem furmanki, zamówione przez Lejzora, który czekał na nas z niecierpliwością. Dzień był pogodny, jasny, niebo bezchmurne, wszędzie cisza i spokój, słychać tylko było w powietrzu świągotanie wesołych ptasząt. Rzeczy wszystkie włożono na wózki i wyruszyliśmy w drogę do Ojcowa. Za Olkuszem ciągnęła się droga przez las sosnowy, który po deszczu wydawał bardzo miłą woń. Potem aż do samej Przegini, wsi znajdującej się w połowie drogi do Ojcowa, droga przechodzi przez grunta piaszczyste, porośnię maleńkimi krzaczkami jałowcu. Pod samą Przeginią droga staje się kamienistą i pnie się w górę, lecz za to, przejechawszy Przeginię, droga jest nieco lepsza i okolica przedstawia wiele miłych dla wzroku widoków. Przejeżdżając około pieskowskiego lasu, znajdującego się o milę drogi od Ojcowa, wpadło nam w oczy mnóstwo poziomek i czarnych jagód, więc poprosiliśmy ojca, ażeby nam pozwolił nazbierać ich trochę. Ojciec się na to zgodził, wyszliśmy więc z wózków i na brzegu lasu nazbieraliśmy sporą ilość poziomek, które jedząc, uprzyjemnialiśmy sobie dalszą drogę. Przejechawszy wieś Kalinów i folwark Kolecin, droga prowadzi prosto do Ojcowa i wjeżdża się nią w rodzaj wąwozu, którego boki stanowią dość wysokie góry, porośnię świerkami, sosenkami i krzaczkami malin.

Wjeżdżając do Ojcowa, najpierw pokazuje się nam wieża, a potem ruiny zamku, sięgającego czasów Kazimierza Wielkiego. Jadąc drogą wiodącą koło tegoż zamku, zdążyliśmy już do kresu naszej podróży i rozlokowaliśmy się u miejscowego gospodarza Czyża, gdyż w najętym u niego domku mieliśmy przepędzić czas wakacyjny. Było to już późno wieczorem, niezwłocznie tedy, posiliwszy się tylko trochę, stradzeni po całodziśniej podróży, udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz raniuteńko obudziłem się, wybiegłem przed dom do lasu, a następnie nad Prądnik, płynący tuż koło naszego domku, z zamiarem złowienia na wędkę kilku pstrągów, które właśnie znajdują się w tym strumyku. Jakkolwiek połów mi się nie powiódł, gdyż zamiast upragnionych pstrągów, złowiłem tylko kilka małych rybek, na tem jednakże zajęciu upłynęła mi przeszło godzina czasu. Następnie po śniadaniu udaliśmy się wszyscy drogą przez las do pobliskiego miasteczka Skały, za kupnem potrzebnych produktów. Słońce przygrzewało, niekiedy tylko powiewał miły i oświeżający wiaterek, bardzo pożądanym w naszej podróży. Słońce poczęło coraz więcej dogrzewać, więc zmuszeni byliśmy kilka razy odpoczywać w lesie. Podczas gdy starsi siedzieli na murawie w lesie, ja z braćmi zbieraliśmy czarne jegody, rosnące tu w wielkiej obfitości. Poszliśmy następnie dróżką przez pola, zasiane rozmaitem zbożem, w którym od czasu do czasu odzywał się głos przepiórki „pójdźcie żąć, pójdźcie żąć” i śpiew skowronka. To wszystko uprzyjemniało nam drogę i nie wiedząc kiedy znaleźliśmy się wkrótce w miasteczku, w którym odbywał się tak zwany jarmark, na którym załatwiliśmy potrzebne sprawunki.

Tu doświadczyliśmy na sobie prawdziwości przysłowia:

„nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię”. Nasza gospodyni kupiła prosiaka, który niesiony w worku, wydobył się nam w drodze pomiędzy zboże i zmykał co sił. Ledwieśmy zbiega napowrót wpakowali w worek i idziemy w dalszą drogę ku domowi, wtem znowu, blisko już domu, prosiak ucieka nam powtórnie w las i z wielkim trudem znowu ledwieśmy go schwytali. Prócz tej małej przygody, powróciliśmy szczęśliwie do domu i po zmęczeniu odpoczywaliśmy tego dnia do samego obiadu, który nam bardzo smakował po takiej przechadzce. Po obiedzie na deser mieliśmy poziomki, kupione od miejscowego pastuszka. Wieczór spędziliśmy na wspólnej gawędce z ojcem o przyległych okolicach z Ojcowem, jako to: Pieskowej Skale, Grodzisku i różnych ciekawych rzeczach, znajdujących się w Ojcowie.

Tak minął pierwszy dzień pobytu naszego w Ojcowie. Noc przespałymi wybornie, dopiero jasność dnia i świągotanie ptasząt przebudziło nas z błogiego snu. Chcąc wynagrodzić sobie nieudaną wczorajszą wyprawę na ryby, przedsięwziąłem nową, która nadspodziewanie pomyślnym uwieńczoną została skutkiem. Złapałem cztery duże pstrągi, z których mieliśmy wyborne jedzenie na obiad. Po obiedzie udaliśmy się na przechadzkę z towarzystwem na drogę Smardzewicką, ciągnącą się tuż pod naszym domem i wiodącą do wioski Smardzewic, w której znajduje się niewielki kościółek. Przechadzka tym razem udała się nam bardzo dobrze. Zbieraliśmy poziomki i rosnące przy drodze kwiatki, które zasuszaliśmy i składaliśmy w zielniczek. Przed samym zachodem słońca całe towarzystwo podążyło ku domowi.

Następne dni przepędzaliśmy mniej więcej oddając się tym samym rozrywkom i przyjemnościom. Cały czas wakacyj przeszedł mi nadzwyczaj szybko, tak że ani się spostrzegłem, kiedy minął czas zakreślony i trzeba było wracać z powrotem do Warszawy, do zwykłych zajęć szkolnych. Pozostało mi tylko błogie wspomnienie doznanych przyjemności i szczerze pragnienie, abym na następne wakacje mógł znowu podążyć do Ojcowa.

POLATUCHA INDYJSKA.

Zwierzę na rycinie naszej przedstawione nazywane jest także wiewiórką latającą; w rzeczy samej składem ciała i zębów zbliża się do wiewiórki, należy do rzędu skrobogryzów, a fałdy ciała rozszerzone po bokach ułatwiają zwierzątku spuszczenie się z wysoka, co wygląda prawie jakby latało. Polatucha indyjska przebywa głównie w częściach południowych Indyj, na wyspach Sundzkich żyje gatunek nieco odmienny. Nazwa miejscowa zwierzęcia jest *taguan*, naukowa *pteromys pataurista*. Polatuchy mniejsze, lecz zresztą zupełnie do tych podobne, są dość pospolite w Syberji.

BRAT OCIEMNIAŁY

Powieść

Homera Green'a

uwieńczona nagrodą 1500 dolarów w Nowym Yorku.

przełożył z angielskiego

HENRYK WERNIC.

(Dalszy ciąg).

Nazajutrz wstał z rana, a posiliwszy się, czempredź udął się ze swym towarzyszem na posiedzenie sądowe. Sala była jeszcze bardziej natłoczona, niż dnia poprzedzającego.

Sąd w dalszym ciągu zajmował się sprawą Jakóba Reunie. Prokurator okręgowy w krótkości wyluszczył powody, na jakich opierało się oskarżenie; poczem zajęto się przesłuchaniem świadków. Pierwszym był inżynier cywilny, ten przedstawił topograficzną mapę miejscowości, na której wybuchł pożar; następnie przesłuchano czterech innych świadków. Jeden był nocnym stróżem, drugi mieszkańcem spalonego domu; trzeci świadek zeznał, że widział Jakóba Reunie przy ogniu, ale nie wiedział, czy znajdował się przy nim od samego początku; czwarty utrzymywał, że spotkał oskarżonego w szynku sąsiedniego miasteczka na pół godziny przed wybuchem pożaru, oraz, że Jakób, wyszedłszy ztamtąd, udał się w to-

— Należałem.

— Zechciej opowiedzieć szczegóły jej dotyczące.

Po tem zapytaniu prokuratora, głęboka cisza zaległa w sali sądowej, a w miarę opowiadania świadka, na obliczach wielu ludzi malował się przestach i nienawiść. Trawers opowiadał, że chcąc zjednać sobie zaufanie górników, przez długi czas pracował w kopalni jako prosty robotnik. Dalej mówił, że dał się wciągnąć do zmywy, aby wziąć udział w naradach, na których postanowiono zemstę Towarzystwu za wydalenie przywódców zmywy; oraz, że uchwalono spalić obszerny skład węgla w Dryden. Wreszcie zeznał, że Jakóbowi Reunie polecono wykonać to postanowienie. Taka



Polatucha indyjska,

warzystwie niejakiego Mike'a drogą, prowadzącą do składu węgla.

Po przesłuchaniu powyższych osób, przyszła kolej na niejakiego Ludwika Trawers'a. Był to człowiek średniego wieku, niewielkiego wzrostu, ale krępy i silny. Ruchliwe jego oczy nadawały mu cechę człowieka bardzo przebiegłego. Przed dopuszczeniem do przysięgi, prokurator, stosownie do przepisów, zapytał świadka o jego zatrudnienie.

— Jestem agentem policyjnym — odrzekł zagadniony.

— Czy nie znasz Jakóba Reunie?

— Znam — odparł Trawers.

— Gdzie go widziałeś po raz ostani?

— Na zgromadzeniu robotników, należących do zmo-

wy, w Carbondale.

— Czy należysz do członków zmywy?

była główna treść jego zeznania, przerywana pytaniami adwokata Pleadwell'a, usiłującego zachwiać wiarygodność jego opowiadania. Powyższe świadectwo znacznie pogorszyło sprawę Jakóba Reunie.

Wypadło teraz złożyć silne dowody na jego obronę, inaczej był on zgubionym. Jakoż Pleadwell energicznie wziął się do obrony. Po kilku wstępnych uwagach oznajmił, że złoży dowody stanowczo przekonujące, iż w chwili pożaru Jakób Reunie znajdował się zdala od składu węgla i przybył tam dopiero wówczas, kiedy cały budynek stał w płomieniach; oraz, że tylko jego energicznej pomocy zawdzięcza Towarzystwo uratowanie znacznej części swoich ruchomości.

— Oprócz tego — mówił dalej Pleadwell — będę miał zaszczyt przedstawić prześwietnemu Sądowi zupełnie wiaro-

godnego świadka, który był przy samym początku pożaru: zezna on, że Jakób Reunie nie mógł podpalić budynku, o którym mowa.

Te słowa sprawiły wielkie wrażenie na publiczności, szczególnie zaś na Tomasz, który zrozumiał, do czego zmierzała mowa prawnika, pojął w zupełności, jak poniżającą miał odgrywać rolę w tej sprawie. Ale cóż miał zrobić? Tak go dręczyły wyrzuty sumienia, iż była chwila, w której gotów był w tej natłoczonej sali sądowej publicznie wyznać, że powodowany przywiązaniem ku ociemniałemu bratu Benjaminowi uległ chwilowej pokusie; lecz przekonawszy się o niegodności swego postępowania, ze wstrętem odrzucił pieniądze, jakie mu ofiarowano i nie może dozwolić, iżby winowajca uszedł bezkarnie. Był on mocno wzruszony, ustawicznie to bladł, to się rumienił, oczekując chwili, w której wymijającym swem zeznaniem miał się wywdziżyć za otrzymane, obmierzone mu teraz pieniądze. Pierwszym świadkiem przyzwanym przez adwokata Pleadwell'a był Michał Carolan, powszechnie znany pod nazwą „Mike”.

Zaświadczył on, że dnia 18 Września rano Jakób Reunie powrócił z nim i wielu innymi robotnikami z miasteczka Seranton; że spożywali wieczerzę u zamężnej siostry Carolana, mieszkającej w sąsiedniej wiosce, w pobliżu spalonego składu, że spędzili wieczór w mieście, uczestnicząc na zgromadzeniu górników, poczem wstąpili do oberży, a wracając na nocleg do siostry, usłyszeli okrzyk: „gore!”

— W chwili ukazania się pożaru — mówił dalej Carolan — ja i Jakób przechodziliśmy przez plantę, w miejscu odległym na ćwierć mili drogi od składu węgla; kiedy zaś usłyszeliśmy okrzyk „gore!”, spojrzeliśmy na gościniec, i ujrzelśmy płomień. Wtedy Jakób rzekł mi: „czy widzisz, Mike, skład węgla stoi w płomieniach.” Po czem obaj przybiegliśmy do ognia. Przybywszy na miejsce, ujrzelśmy Jerzego, schodzącego z pagórka i wspólnie z nim zajęliśmy się wyciąganiem wozów ze stajni. Po usunięciu wozów, zabraliśmy się do wydobywania sprzętów z palącego się domu. Uratowaliśmy, co tylko było można.

„Silent Mike” doskonale się bronił; niewiadomo, zkąd mu to przyszło, zwyczajnie bowiem milczał. Chociaż niewiele było prawdy w tem, co mówił, ale płynna jego wymowa przekonywała o wiarygodności jego zeznania. Przytoczone przez niego zdarzenia co do głównego punktu zgadzały się z rzeczywistością, ale pominął to, że pozostawiając robotników w miejskiej oberży, poszedł z Jakóbem do składu węgla, gdzie ten ostatni zapalił chrust, poczem obaj pośpiesznie pobiegli do tego miejsca przy kolei żelaznej, zkąd po raz pierwszy usłyszeli okrzyk: „gore!”

Sprawa Jakóba lepszy brała obrót. Na tem się zakończyło posiedzenie przedpołudniowe. Po południu zajęto się przesłuchaniem Jerzego.

— Udałem się na spoczynek — mówił on — kiedy usłyszeliśmy okrzyk: „gore!” Spojrzałem przez okno, a przekonawszy się, że pożar wybuchł w składzie węgla, zarzuciłem czempredę na siebie odzież i zbiegłem z pagórka. Kiedy stanąłem na dole, usłyszeliśmy jakiś szmer poza sobą, obejrzałem się i ujrzałem Jakóba olbrzyma i Silent Mike'a, biegnących na gościniec w kierunku składu węgla. Płomień ogarniał cały budynek, a ja z Jakóbem i Silent Mike pośpieszyliśmy do wozowni, aby usunąć znajdujące się tam wozy. Po wyciągnięciu wozów, podaliśmy się do palącego się domu i zaczęliśmy z niego wynosić meble na gościniec. Uratowawszy ztamtąd, co tylko było można, udaliśmy się do tej części składu, w której stała maszyna i ztamtąd wynieśliśmy wiele sprzętów... Z pomiędzy nas trzech najlepiej uwijał się Jakób, nie zważał on na żadne niebezpieczeństwo, pracował, jakby opętany.

Kiedy Jerzy zakończył swe opowiadanie, jeden z adwokatów zapytał go:

— Coś tam robił tak późno w nocy?

Na to odpowiedział Jerzy:

— Tego wieczora zbląkał się w kopalni brat znanego mi chłopca. Przyobiegałem mu, że gdyby sam nie zdołał

odszukać zbląkanego swego brata, to mu w tem dopomogę. Czekałem na niego, ale niepotrzebnie, bo przyszedł zawiadomić mnie, że bez mej pomocy odszukał brata.

— Więc rzeczywiście przyszedł ten chłopiec? — zapytał adwokat Summons trochę niedowierzająco.

— Przyszedł — powtórzył Jerzy — powiedział, że zaprowadził brata do domu, i że nie potrzebuje już mojej pomocy. Wyrzekłszy to natychmiast odszedł, a ja zabierałem się do spoczynku. Była to godzina jedenasta.

— Jak się nazywał ten chłopiec? — pytał dalej adwokat.

— Tomasz Taylor.

Jakób wzdrygnął się, usłyszawszy to nazwisko, widocznie krew uderzyła mu do głowy, bo bardzo poczerwieniał.

— Czy chłopiec ten poszedł w kierunku składu węgla? — zapytał adwokat Saumons.

— Tak jest, panie.

— Kiedy usłyszałeś okrzyk „gore?”

— Mniej więcej w dziesięć minut po jego odejściu.

— Czy w tym czasie chłopiec mógł już minąć skład węgla?

— Mógł, bo szedł bardzo prędko.

— Czy jesteś pewny, że Tomasz Taylor nie podpalił składu węgla?

Na tak niespodziewane pytanie, Jerzy osłupiał; nie wiedział na razie, co odpowiedzieć, wreszcie rzekł:

— O! zupełnie jestem pewny, to wcale być nie może. — Poczem głośno się roześmiał na samą myśl, że można o coś podobnego posądzić Tomasza i dodał — w całej okolicy nie masz lepszego nad niego chłopca.

Tomasz wszakże przyjął to zapytanie z zupełnie innym uczuciem; zrozumiał, że nowe niespodziewane poczyna mu grozić niebezpieczeństwo. Cóż uczyni, jeśli go posądzą o podpalenie składu węgla? Czyż Jakób i Carolan nie mogą zaświadczyć przeciwko niemu? Wszak mogą nawet przyśiądź, że widzieli go uciekającego od zapalonego składu węgla, nie dopuściwszy się żadnego kłamstwa. Jakże wówczas przekona sąd o swęj niewinności? Przecież i on gotów był zeznaniem swoim przyczynić się do uniewinnienia Jakóba Reunie, chociaż wiedział, że dopuścił się zbrodni, o jaką jest obwiniony, a co jeszcze bardziej jest haniebnem, gotów był to uczynić za pieniądze. Z tego stanowiska nigdy jeszcze nie zapatrywał się na swą obietnicę. Rozważana z tego punktu była czynem bardzo niemoralnym. Obalało to nędną wymówkę, która jak pajęczyna oplątała jego umysł, że bądź co bądź nie dopuści się kłamstwa.

Takie myśli zaprzętały jego głowę, pobudzając serce do silniejszych uderzeń, gdy wtem usłyszał wymówione swoje nazwisko:

— Tomasz Taylor, wzywam cię na świadka.

ROZDZIAŁ V.

Wyrok.

Tomasz, usłyszawszy swe imię, zbladł, powstał, niepewnym krokiem przeszedł w pośród otaczającej go publiczności i stanął przed kratkami. Odczytano mu rotę przysięgi, dano do pocałowania krucyfiks i kazano powtórzyć, że powie całą prawdę. Po raz pierwszy w swem życiu był on przedmiotem ogólnej uwagi sędziów, sądu przysięgłych i licznie zebranej publiczności. Słowa: „powiem całą prawdę”, ustawicznie brzmiały mu w uszach. Krew uderzyła mu do głowy, a duszę jego przejęła jakaś niczem nie wytłómaczona obawa; lecz trwało to tylko chwilę. Bardzo się zadziwił, kiedy ujrzał powstającego z miejsca Jakóba Reunie, który, spojrzawszy na niego wzrokiem pełnym przerażenia, pochylił się do adwokata Pleadwell'a i chrapliwym głosem rzekł mu do ucha:

— Nie powiedziałaś mi pan, że tego chłopca chcesz powołać na świadka! Nie należało go dopuścić do przysięgi. Postąpiono zupełnie nieprawnie. Nie zgadzam się na to, mówię wyraźnie, że się na to nie zgadzam.

Pleadwell położył rękę na ramieniu mówiącego i zmusił go do zajęcia opuszczonego miejsca. Nastąpiła teraz cicha rozmowa pomiędzy adwokatem a Jakóbem, trwająca kilka minut, po której ten ostatni, trzymając się rękami brzegu stołu, wlepił wzrok w przeciwległą ścianę, aby nie spoglądać na Tomasza.

Tymczasem adwokat Pleadwell ciągnął dalej rozpoczęte badanie. Najprzód zapytał Tomasza, gdzie mieszka i czym się zajmuje, poczem tak zgrabnie sformułował swe pytania, iż zmusił go do wzmianki o ociemniałym bracie Benjaminie, o widzeniu się z Jerzym i o tem, czego później był świadkiem.

— Kiedy powracając od Jerzego — pytał dalej adwokat — zbliżyłeś się do składu węgla, czy widziałeś człowieka ukrytego w cieniu budynku?

— Widziałem — odrzekł Tomasz.

— W jakiej mógł się znajdować od ciebie odległości?

— W odległości dziesięciu stóp.

— Gdzie się udał?

— Nie wiem, bo straciłem go z oczu w pobliżu miejsca, gdzie stała maszyna.

— Czy nie wiesz, z kąd wyszedł?

— Z tych wrót, w których odbywa się ładowanie węgla.

— W jakim przeciągu czasu po jego zniknięciu ujrzaleś pierwszy ślad pożaru?

— Mniej więcej we trzy minuty.

— Czy przypatrzyłeś się temu człowiekowi?

— Dosyć dobrze go widziałem.

— Czy możesz powiedzieć, jak wyglądał? Opisz go.

— Był to człowiek niski, szczupły, bez żadnego zarostu na twarzy.

Wtedy adwokat, wskazawszy na Jakóba, zapytał Tomasza:

— Czy był on podobny do tego człowieka?

— Nie, panie — odrzekł zapytany.

Usłyszawszy tę odpowiedź, Pleadwell rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu i z tryumfującym uśmiechem spojrzął na sędziów przysięgłych, a publiczność, znajdująca się w sali, mówiła, że odpowiedź Tomasza zupełnie uniewinnia Jakóba. Wszyscy uważali zeznanie Tomasza za decydujące w całej tej sprawie, innego wszakże zdania był sam Jakób, który ciągle trzymał się rękami brzegu stołu i spoglądał bezmyślnie na przeciwległą ścianę, starając się tym sposobem przytłumić swe wzruszenie.

Tymczasem w duszy Tomasza ciągle dźwięczała przysięga, że powie całą prawdę, a przecie dotąd jej nie powiedział. Czuł, że świadectwo, jakie złożył, równało się kłamstwu. Uczucie winy przygniatało jego duszę. Zdawało mu się, że zewsząd słyszy słowa pogardy i potępienia: Wiarolomco, chłopcze przedajny! Niepodobna opisać katuszy, jakich doznawał, czując, że sobą gardzić musi.

Nagle w duszy jego powstała myśl tak silna, że jej się oprzeć nie mógł. Była to myśl śmiała, rozpaczliwa. Zeszedłszy z podwyższenia, przeznaczonego dla świadków, w jednej chwili przebył przestrzeń, oddzielającą go od adwokata Pleadwell'a a stanąwszy przed nim, szybko wyjął pieniądze z kieszonki od kamizelki i położył je na stole, poczem z tą samą prędkością powrócił na opuszczone miejsce. Tu rzekł:

— Teraz jestem swobodny. Zróbcie ze mną co chcecie, dręczcie mnie, zabijcie, muszę wypowiedzieć wszystko, co wiem!

Kiedy to mówił, pierś mu się podnosiła, policzki zarumieniły, a oczy dziwnie jakoś zabłyśły. Był to widok tak niezwykły że cała publiczność, aby lepiej go widzieć, podniosła się z ławek, a nawet dały się słyszeć oklaski. Jakób Reunie, wbrew oczekiwaniu, spojrzął na Tomasza z wyrazem uwielbienia, w oczach jego nagle żyły się ukazały.

— To prawdziwy syn swojego ojca — szepnął do siebie. — Tęgi chłopiec, niech Bóg mu pomoże — poczem zwróciwszy się do adwokata, rzekł — powiedziałem, że nie trzeba było dopuszczać go do przysięgi.

Kiedy szmer się uciszył, zapytał sędzia prezydujący Tomasza, od kogo dostał pieniądze?

Na te słowa Pleadwell, zwróciwszy się do chłopca, zawołał:

— Mnie odpowiadaj na to pytanie! — sam zaś zapytał: — Czy ja ci dałem te pieniądze?

— Nie, panie — odrzekł Tomasz, przestraszony gwałtownością adwokata.

— Czy Jakób Reunie dał ci te pieniądze? — pytał dalej Pleadwell.

— Nie, panie.

Otrzymawszy tę odpowiedź, Pleadwell zwrócił się do sędziów i rzekł:

— Prześwietny sąd nie ma prawa czynić tego pytania, to do sprawy nie należy. Całe to postępowanie chłopca — mówił dalej — jest obliczone na efekt, aby zaszkodzić sprawie obwinionego. Jako jego obrońca, proszę, iżby w tej kwestyi zaniechano wszelkiego badania.

Sędzia przewodniczący nie zwrócił uwagi na to przemówienie i zapytał Tomasza:

— Czy przyznajesz, że te pieniądze dane ci zostały ze strony oskarżonego z jego wiedzą i zgodą?

— Mogę nawet na to przysiąc — odrzekł Tomasz.

— Służy mi więc prawo czynić dalsze pytania — odparł sędzia.

Tak więc nie udało się adwokatowi Pleadwell'owi odwrócić uwagi sądu od tego wydarzenia.

— Dla czego zwróciłeś te pieniądze adwokatowi?

Pleadwell uczynił znów jakiś zarzut, a Tomasz odrzekł: — Ponieważ nie mam do nich prawa, a adwokat wie, do kogo należą.

— Do kogo więc należą?

— Nie wiem, panie; wiem tylko, od kogo je otrzymałem.

— Kiedy je otrzymałeś?

— Przed dwoma tygodniami.

— Gdzie je otrzymałeś?

— W kancelaryi adwokata Pleadwell'a.

— Czy działo się to w obecności adwokata?

— Nie, panie.

— Jaką dano ci sumę?

— Sto dolarów.

— W jakim celu?

— Miały one posłużyć na wysłanie mojego brata do zakładu leczniczego w Filadelfii, gdzie miał wzrok odzyskać.

— Nie o to się pytam, lecz o to, do czego się zobowiązałeś, otrzymując te pieniądze?

Adwokat Pleadwell nie dozwolił odpowiedzieć Tomaszowi, czyniąc zarzut sądowi, że bez potrzeby zadaje poboczne pytania, mogące wpłynąć na szkodę obwinionego.

W odpowiedzi na to, sędzia dał głos adwokatowi strony przeciwnéj, panu Saumons'owi, który spytał Tomasza, czy dotychczasowe jego zeznanie zgadza się z prawdą.

— To, co powiedziałem — rzekł Tomasz — jest prawdą, lecz nie wypowiedziałem jeszcze wszystkiego.

— Powiedz więc, co wiesz jeszcze.

— Protestuję przeciwko takiemu postępowaniu — rzekł adwokat Pleadwell — jeśli adwokat strony przeciwnéj chce otrzymać zeznanie, niechaj czyni szczegółowe pytania.

— To nasza rzecz — odparł sędzia prezydujący — baczycy na to, iżby świadek nie przekraczał prawem przepisanych granic, a zwróciwszy się do Tomasza, rzekł — świadku, mów dalej.

— Prawdą jest to, co poprzednio powiedziałem, ale kiedy zbiegłem z pagórka, ujrzawszy człowieka, postępującego w cieniu, zatrzymałem się i patrzyłem, co on uczyni. Wkrótce usłyszałem w bramie, gdzie ładują węgle, szelest podobny do łamania chrustu, a niebawem dostrzegłem tego człowieka — dodał, wskazując drżącym palcem na Jakóba — który zbliżając się do mnie, po cichu coś ze sobą rozmawiał. Po chwili zajaśniał nadzwyczajny blask w oknach budynku, z którego on wyszedł. W tej samej chwili człowiek ten szybko zbliżył się do mnie, a schwyciwszy za ramię, rzekł

groźnie: Nie mów nikomu nic o tem, co widziałeś, jeśli nie chcesz wystawić się na straszną zemstę." Poczem, powiedziawszy coś więcej, czego sobie nie przypominam, pchnął mnie z pagórka, wołając: „Uciekaj zład czempredź i nie odwracaj głowy". Kiedy stanąłem na dole, obróciłem się i spostrzegłem cały budynek w płomieniach. Okoliczni mieszkańcy powychodzili z domów, do nich się przyłączyłem i przypatrywałem pożarowi. Przy pożarze ujrzałem tego samego człowieka, ratował on sprzęty z płonącego budynku.

Tomasz wypowiedział to prawie jednym tchem, a skończywszy opowiadanie, zatrzymał się i odetchnął.

(d. c. n.)

BŁĘDY JĘZYKA.

Chcielibyśmy czytelnikom naszym wskazywać błędy najbardziej rozpowszechnione, ażeby się ich wystrzegali. Oto np. tu na Mazowszu nawet osoby zresztą piszące poprawnie zazwyczaj nie rozróżniają wcale dwóch głosek, odmiennych jednak, *h* i *ch*, a ponieważ wymawiają je zupełnie jednakowo, zawsze z dźwiękiem *ch*, więc wyobrażają sobie, że i w piśmie żadnej niema różnicy pomiędzy temi głoskami. Niedawno naprzykład jeden z naszych korespondentów przysłał nam jako homonimy takie zadanie: Chełm, miasto, i *chelm*, strój głowy wojskowy. Tymczasem miasto pisze się w rzeczy samej przez *ch*, ale strój głowy wcale nie, bo powinno być *helm*. Chociaż w Piśmie naszym przez czas tak długi co tydzień drukowano tytuł powieści najwyraźniej „Bohater tebański", większość korespondentów, wychwalając tę powieść, pisała zawsze *Bohater*. Do tego nawet dochodzi, że nazwy cudzoziemskie, które powinny właściwą sobie pisownią zachować, przekręcają dziwacznie u nas, pisząc np. pustynia *Sachara*, *Machomet*, *Chamburg* i t. d. W innych okolicach kraju, gdzie w wymawianiu odróżniają wyraźnie wyrazy mające głoskę *ch* od tych, które mają odmienną głoskę *h*, ta myłka jest nieznana. Tam nikt nie napisze *Machomet* ani *Cholandya*, bo wyrazy te zupełnie inaczej są wymawiane niż np. *chomonta* lub *ruchomość*.

A jednak każdy powinien koniecznie pozbyć się tej brzydkiej myłki i starać się, jeżeli już nie w wymawianiu, to w pisaniu odróżniać koniecznie *ch* od *h*. Najlepszym sposobem jest zajrzeć do słownika, ile razy się ma do napisania wyraz podobny; powoli nabierze się wprawy i pisownia właściwa w pamięć się wbije. Dla wygody naszych czytelników wymienimy tu niektóre wyrazy najpospolitsze, które powinny się pisać przez *h* bez dodatku *c*: bohater, czyhać, pułacz, pułhar, hak, haftować, hałas, hamować, hodować, hańba, haracz, hardy, hartować, herb, hasło, hetman, hojny, hołd, hrabia, hufiec, hulanka, wabadło, kurhan, mahoń, hojność, druh, heblować, hułtawka, hełm, huk, huta, hotel, handel, honor.

Co się tyczy imion własnych pochodzenia obcego, jak Henryk, Helena, Holandia, Hamburg, Sahara, Mahomet, trzeba sobie zawsze zadać pracę i poszukać w słowniku, w encyklopedyi, lub geografii, jak się powinny pisać. Te wszystkie nazwy, które w języku swoim właściwym mają *h* lub *g*, z pewnością nie piszą się przez *ch* po polsku, tylko przez *h*.

SZARADA (Marya Ewa).

Pierwszy wspan w rzekach i stawach żyje,
Szczypie, gdy ręce ujmą go czyje.
Komu zawinić czasem się zdarzy,
Temu rumieńcem płonie na twarzy,
A kto bez niego broi zuchwale,
Wprost pierwszych, słusznych nie ujdzie wcale.
Do gry potrzebne pierwsze i trzecie,
Z pożytkiem inne w książkach znajdziesz.
Pierwsza i druga z korzeni w borze
W wodzie rybakom sieć przerwać może.
Skoro do ciebie zwracam pytanie,
Trzecie mi zaraz odpowie na nie.
Wszystko jest nazwą gór; w dzień słoneczny
Wita je sławiąc gród nasz odwieczny.

Łamigłówka w kwadraciku.

(Kropelka Rosy).

<i>M</i>	<i>g</i>	<i>l</i>	<i>h</i>	<i>c</i>	<i>h</i>
<i>o</i>			<i>h</i>		
		<i>z</i>	<i>o</i>		
<i>z</i>	<i>a</i>	<i>p</i>	<i>a</i>	<i>c</i>	<i>h</i>
	<i>a</i>			<i>r</i>	
<i>n</i>					<i>t</i>

Zapełnić kratki literami, aby utworzyć wyrazy: 1 rząd. Miesiąc. 2. Muszla. 3. Gromada zwierząt. 4. Woń. 5. Imię męzkie. 6. Historyk. W kratkach oznaczonych kropkami odczytać na ukos nazwiska dwóch słynnych kompozytorów muzycznych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 4 go.

Szarady:

Ja — maj — ka.

Łamigłówki zgłoskowej:

Sokrates—Epolety—Wagram—Adolf—Słońce—Talar
—Orinoko—Potop—Okno—Lelewel.

Sewastopol — Symferopol.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne, (z drzew.) — Podania ludowe, p. M. Zielińską. — Księga pamiętnych czynów. — Podróż moja na wakacje, opisał Władysław Kominiarczyk. — Polatucha indyjska (z drzew.). — Brat ociemniały, powieść Homera Green'a, przełożył z angielskiego Henryk Wernic. — Błędy języka. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek.** Ślizgawka, wiersz p. Z. Morawską (z drzew.) — Opowiadania mamy, p. Z. Bukowiecką. — Pamiętnik lalki, p. Maryą z Grabowa. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** W imię koleżeństwa, powieść przez Bronisławę Porawską.



Ślizgawka.

ŚLIZGAWKA.

Hej, rażno, wesoło! choć mroźno, choć zima
Bieluchną powłokę rzuciła dokoła,
W wesołej ślizgawce mróz dziatwy nie wstrzyma,
Im ciepło, aż nieraz pot spływa im z czoła.
Więc jedni na stawie błyszczącym jak szyba
Tańczą lub kreślą ósemki, zygzaki;
Ich śmiechem spłoszona w głąb chowa się ryba,
Przełękłe z gałęzi zrywają się ptaki.
Ze śniegu jegomość ma czarny kapelusz:
A chłopcy żartują: „Zkąd jesteś? pyszałek,

„Ukłoń się! ruszaj się! wnet ręką mi porusz!”
I śnieżką strącili mu ręki kawałek,
Dziewczątka nieśmiało próbują swęj siły,
A sanki się suną po drzewo do lasu.
Ptaszyny zziębnięte skrzydelka stuliły,
Słuchając wśród trwogi tych śmiechów, hałasu...
A śnieg się wciąż sypie białemi płachtami
I do snu kołysze zgłodniałe ptaszęta...
Lecz w górze jest oko, co czuwa nad nami
O ptaszkach, o biednych pamięta.

Z. Morawska.

Sądny dzień.

Prawdziwy był to dzień sądu, mój Stasiu, kiedy w Polsce zabrzmiał przeraźliwy okrzyk „Tatarzy idą!”

Tatarzy, naród dziki, mieszkający w Azji, całemi gromadami ciągnął teraz do Europy, i w krótkim czasie zdobył piękną, bogatą Ruś, zburzył jej miasta, a z niemi Kijów, ten Kijów, gdzie nasz Chrobry miecz swój wyszczerbił.

Opowiadałam ci już o różnych wojnach, ale co innego było bić się z Prusakami lub Czechami — o! zupełnie co innego!

— Cóż to za straszna łuna na niebie? — pytali się przerażeni mieszkańcy, patrząc na ogniste półkole, które zbliżało się coraz bardziej.

To Tatarzy palą przed sobą wsie, miasta, nawet zboże na pniu, rąbiąc i mordując, co na drodze spotkają. Szli wielkiem półkolem, zagarniając w środek straszne go pierścienia wszystko, co im się oprzeć ośmieliło.

Krew starców i dzieci płynęła strumieniami, a młode dziewczęta i chłopcy wiązano do koni i pędzono w niewolę. Pomyśl, Stasiu, co się dzieć musiało nieszczęśliwym porwanym od rodziców i wleczonym w dziki step, gdzie służyć musiał każdy pogańskim panom.

Leszek już nie żył, w Krakowie rządził teraz syn jego Bolesław, dla wielkiej skromności Wstydlivym zwany. Zebrał wojsko i odważnie zabiegł drogę Tatarom, ale oni w jednej chwili wymordowali polskie rycerstwo, Bolesław schronił się do Krakowa, a straszna, ognista fala pędziła dalej i dalej. Na drodze stał im Sandomierz.

Sandomierz, miasto bogate, to samo gdzie Goworek Leszka Białego ukrywał, miał mury silne i odważnych mieszkańców. Z całej okolicy też zbrali się tam zdadni do boju rycerze. Dzień i noc czuwanó, a noce to były straszne, bo czerwona łuna rozświecała ciemności. Jak ogniste koło paliły się w okrąg wsie, lasy i łąny zbóż, coraz bliżej i bliżej morze ognia otaczało miasto, już słycać jęk mordowanych, już tłumy strasznych, dzikich Tatarów pchają się na mury. Z murów rzucają kamienie, leją wrzącą wodę, spychają odważnie wdzierających. Ale Tatarów jest tak dużo, tak dużo!

Napróżno bronilo się nieszczęśliwe miasto. W jednej chwili zniknęło ono pod tym strasznym zalewem. Z góry zamkowej płyną ku Wiśle rzeki krwi, już sama Wisła czerwienieje, czerwone niebo od łuny pożarnej — już wszystko co żyło zginęło.

Nie, broni się jeszcze kościół murowany, założony przez siostrę Leszka, pobożną księżniczkę Adelajdę. Tu garstka najwaleczniejszych opiera się dzielnie tłumom, i tłumy nie nacierają tak śmiało, bo z kościoła dziwny jakiś słycać śpiew, którego boi się Tatarzyn. To czterdziestu ubogich zakonników modli się o ratunek dla kraju.

Kłęczą w białych sukniach, bo takie noszą Dominikanie, a tymczasem zdobyto już drzwi główne, oni nie odwracają nawet głowy, zatopieni w pobożnej pieśni.

Chwilę stał dziki Tatarzyn, dziwiąc się, dla czego ci czterdziestu nie uciekają? Teraz dwom pierwszym ściał głowy, reszta śpiewa dalej — „Królowo korony polskiej, ratuj nasz kraj” — i śpiewa wciąż, tylko śpiew słabnie, bo śpiewający jak kłosa padają pod mieczem tatarskim, aż polegli ostatni dwaj, a umierając jeszcze wołali o pomoc dla ojczyzny.

Straszne to, nieprawdaz, Stasiu, a jednak powódz tatarska, której dotąd nikt się nie oparł, cofnęła się od Polski. Byłaby może całą Europę zalała, Polacy pod Sandomierzem, pod Chmielnikiem i pod Lignicą tak walecznie się potykali, że dziki naród uląkł się tego męztwa, a może Bóg wysłuchał modłów męczenników i świętych polskich.

Bo słusznie, Stasiu, chlubić się możemy świętymi którzy wtenczas żyli. Na tronach, w klasztorach i ubogich domach mieliśmy wybranych, błagających Boga o zmiłowanie dla kraju.

W Szląsku Ś-ta Jadwiga, żona Henryka Brodatego, w Węgrzech Ś-ta Salomea, siostra Bolesława Wstydliviego, wreszcie w Krakowie Ś-ta Kunegunda jego żona, dawały przykład wielkiej pobożności, a dobroczynne i miłosierne starały się goić rany, straszną tatarską klęską zadane. O tej Ś-tej Konegundzie mówią, że cudownie odkryła kopalnię soli w Wieliczce pod Krakowem. Sól to przysmak ubogiego, mój Stasiu, musiała się więc z tego odkrycia bardzo cieszyć pobożna królowa, bo czyż jest radość większa, jak ulżyć doli biedaka? Bolesław Wstydlivy panował najdłużej ze wszystkich naszych królów. Był on ostatnim z Bolesławów, żaden już potem król polski imienia tego nie nosił, ale daleko było Wstydlivemu do Chrobrych i Krzywoustych.

Nie on też stanowi chwałę naszą w tamtych czasach. Chwała ta płynęła nam od pobożnych niewiast, od takich świętych, jak Ś-ty Jacek, Ś-ty Czesław, którzy i dziś przed tronem Bożym błagają o opiekę nad ukochaną swoją ziemią.

Z. Bukowiecka.

PAMIĘTNIK LALKI.

Napisała MARYA Z GRABOWA.

Czyście wy się kiedy zastanowili, mili czytelnicy moi, nad losem lalek u małych dzieci? O, pewno nigdy; wszystkie opisy, które dotąd mamy, były robione przez szczęśliwe lalki, będące własnością grzecznych i rozsądnych dziewczynek. O istnieniu moich towarzyszek nikt nic nie wie, gdyż zwykle prędko kończą swój żywot; ja niestety! zawdzięczam tylko masie nadzwyczaj trwałej, z której jestem zrobiona, że dotąd jeszcze żyję po kilku miesiącach złego obchodzenia się ze mną. Umyśliłam też sobie co wieczór w kancelaryi tatusia spisywać moje smutne dzieje, aby dać naukę ludziom, że dla małych dzieci szkoda marnować pieniędzy na drogie zabawki; dla nich stosowne są tylko lalki drewniane z odpustu, albo uszyte z gałganków.

Czy ja przypuszczałam, że w takie ręce się dostanę, gdy poważna pani wybrała mnie w sklepie zabawek na Niecałej ulicy i przyniosła z sobą do dużego domu na drugie piętro? Nie chwając się wcale, byłam bardzo ładna, oczy czarne, żywe rumieńce, włosy blond, zgrabne ręce i nogi, czegoż więc od lalki spodziewać się można? Wszyscy też to powtarzali.

Zaczęto mnie ubierać, dwie młode panny uszyły sukienkę z niebieskiego jedwabiu, przystroiły koroneczkami i aksamitką, potem ostrożnie zapakowały do pudełka i powierzyły jakiemuś panu, który miał mnie zawieźć dla swjej córki, grzecznej Cesi, tak było bowiem napisano na owem pudełku, w którym mieszkałam. My lalki zupełnie inny mamy organizm, niż ludzie, w kufrze, w maleńkiej paczce, oddychamy również swobodnie jak na świeżem powietrzu, to też piękne moje kolory nic nie straciły ze swjej świeżości, gdy po całodzienniej podróży wydobyto maie z ukrycia i złożono w ręce czteroletniej dziewczynki.

— Cesiulko, masz teraz nową lalkę — odezwała się mama — pobaw się z nią ostrożnie, a potem włóż do pudełka i schowaj do mojej szafy, to będziesz ją długo miała.

— O tak, mamusiu — odpowiedziała dziewczynka — będę pilnowała i strzegła tej lalki, to mi wystarczy na całe życie, nawet braciszкови nie pokażę, żeby jej nie popsuł.

O ile pierwsze słowa bardzo mi się podobały, o tyle drugie dużo mniej; zawsze to nieładnie braciszкови zabawek żałować; ale myślę sobie, może to z takiej wielkiej troskliwości o moją osobę, więc dobrze na tem wyjdę.

Rzeczywiście przez kilka dni Cesia mnie strzegła, chowała do pudełka, okrywała chusteczką, wprawdzie my lalki nie czujemy zimna tak dotkliwie, jak ludzie, ale zawsze przyjemnie, jeżeli o nas dbają.

Jednego dnia Cesia koniecznie prosiła, aby mnie mogła z sobą wziąć na przechadzkę. Ponieważ sama ubrała się w ciepłą salopkę i dla mnie wyciągnięto jakiś paltocik po nieboszczce lalce, którą Cesia kiedyś posiadała. Nie obmawiam, broń Boże, paltocik był wcale niezły, tylko gałgan jakiś, którym głowę moją związano, popsuł mi humor. Niańka wprawdzie perswadowała, aby związać włóczkową chusteczkę, ale Cesia słysząc o tem nie chciała, sama najlepiej lubi włożyć na głowę perkalową chustkę, w której wygląda nieprzymierzając, jak dziewczka z folwarku.

Idziemy tedy w podwórze do obory; tam zdziwiona przypatruję się krowom, bom jeszcze dotąd podobnych zwierząt nie widziała. Naraz wyskakuje z kąta złoty piesek.

— Kudłacz! Kudłacz! — woła Cesia — patrz, co za lalka!

Pies w tej chwili rzuca się na mnie, ostremi zębami szarpie za suknię i włosy, obrzydliwym językiem liże po twarzy. Ja trzęsę się ze strachu, to tak samo jakby do was, kochane dzieci, wyskoczył lew z menażeryi i zaczął się w ten sposób z wami bawić. Ze strachu pobladły moje rumieńce, a cały dzień następnie byłam chora.

Naturalnie Cesia zauważyła moje potargane włosy, czempredź bierze mamy grzebień, ogromną szczotkę i buch! buch! mnie po głowie, szarpie, ciągnie na wszystkie strony, połowa też włosów pozostała na grzebieniu. Pomimo perswazyi mamy, że lalki nie można tak mocno czesać, Cesia splotła mój precudny warkocz, zapięła ogromną szpilką i cieszyła się, że teraz ze mnie to prawdziwa pani.

W tydzień po tem czesaniu zajechali goście. Mama naturalnie zajęła się niemi, a Cesia bawiła się z pokojówką. Naraz przychodzi jej myśl do głowy, aby mnie rozebrać.

— Trzeba jej uszyć nową suknię — powiada.

Otóż Marysia swoim gustem wymyśla toaletę: spodnica perkalowa w czerwone kraty, do tego przyszywa czarną falbankę, kaftanik wełniany też w kraty, ale w zupełnie innym rodzaju, dopełniał tej pięknej całości. Moja jedwabna sukienka nie była tak arcyświatna, bo to ze starego przerobiona, ale zawsze co jedwab to jedwab. Mama, zobaczywszy tę maskaradę, nie była z niej bardzo zadowolona, ale Cesia tłumaczyła, że ze mnie teraz porządna pokojówka. Chcąc ten strój troszkę przyozdobić, mama uszyła bardzo ładny biały perkalowy fartuszek z kieszonkami, wystebnowała go nawet na maszynie; ale długo to było tego porządku! dziś już chodzę przepasana jakimś gałgankiem w miejsce fartuszka; moja poprzedniczka miała podobno atlasowe i pikowe suknie, chustki do nosa, serwetki do jedzenia, a gdzie to wszystko? ani śladu.

Jako pokojówkę zaczęto mnie czesać w jeden warkocz i zaplatać go rozmaitemi skrawkami; wstrząsałam się cała na to, ale cóż może biedna lalka? mówić przecie nie potrafi. Od tego ciągłego czesania warkocz mój coraz był cieńszy, co widząc Cesia przyszła prosić mamy, aby go obcięła. Mama tłumaczyła, że lalkom włosy nie odrastają, jak ludziom, że nie można tego robić, ale cóż, mama zajęła się robotą, a Cesia przez ten czas obcięła mi włosy; pięknie też teraz wyglądam! Z przodu wyskubana grzywka, a z tyłu zaledwie kilka krótkich kłaczków. Twarz moja także straciła swoją świeżość, a to dzięki myciu, które Cesia bardzo lubi, ale dla lalek tylko, dla siebie dużo mniej. Dziś naprzykład chciała mnie jeszcze nożem oskrobać, aby przywrócić dawną barwę. Mama mnie za to odmalowała, ale to już nie to co dawniejsza uroda, już mnie jej nikt nie powróci. Cesia, odbierając mnie braciszкови, zepsuła mi trzewik, przykro to w młodym wieku być taką straszną kaleką, to też codziem w sekrecie spisuję te moje smutne przygody, może wpadną małym dzieciom w ręce; niejedna dziewczynka dowie się z nich o smutnym losie lalek i będzie więc jej swoją szanowała, jak ją kiedy dostanie.

(d. n.)

SZARA DA (Polka Mazurka).

*Pierwsza druga, cóż chcecie,
Barwa niezbyt piękna przecie;
Druga trzecia ludzi ujmuje,
Wszystko w „Wieczorach” się znajduje.*

ROZWIĄZANIE DO N-ru 4-go.

Zadania konikowego:

„Musi to być prawda, bo wydrukowane” (stare przysłowie polskie).

* Skrzynka do listów.

DO WSZYSTKICH.

Upraszamy o adresowanie listów nie imiennie, lecz wprost do Redakcyi Wieczorów Rodziny, o wypisywanie wyraźnie nazwiska i adresów, żądając przesyłek, a zarazem o pamięć, że oprócz ceny żądanych książek liczyć należy koszt ich przesyłki.

Białej i szarej Koteczce z nad Chomoru dzieci ubogich rodziców składają serdeczne dzięki za przysłane im rzeczy i modlić się będą o ich zdrowie.

P. Buckiewiczowej. Obrazki wysłane, komplet ich wynosi w istocie kop. 15 lecz kop. 15 zapłaciliśmy za przesyłkę pocztową. Z przesłanych więc na prenumeratę rs. 3 pozostaje na drugie półrocze kop. 35.

Księżyc pisał zapewne podczas zaćmienia, skoro nie spostrzegł, ani myłek ortograficznych, ani wszystkich niedorzeczności, któremi liścik jego jest przepelniony. Smutno nam bardzo, że taki nieoświecony i nieokrzesany Księżyc przyplątał się do grona naszych miłych korespondentów.

Świteziance nie mamy wcale za złe, że przy tak pożytecznej pracy rzadko pisuje. Słusznie mówi Świtezianka kochana, że redakcyja ma dla niej słabość, ale bo też jest najdawniejszą i najwierniejszą korespondentką.

Niezabudka z Orła może pisywać do każdej z naszych korespondentek, której pseudonym jęj się podoba. Wprzód jednak trzeba przesłać nam prawdziwe imię i nazwisko.

Zajac z gaidu i Jeleń ostrożny ślicznie robią, że korzystają teraz z czasu i do zadań naszych należą, bo gdy raz zabiorą się do pracy szkolnej, będzie to niepodobieństwem.

Morelce musimy powinszować ogromnych postępów w kaligrafii; od czasu pierwszych liścików pismo jęj do niepoznania zmieniło się na lepsze.

Mewę z nad Bałtyku radziłyśmy uściskać za to, że pomimo takich okoliczności pisze jednak zupełnie poprawnie i bez żadnej myłki. Powinnaby Mewa do naszych konkursów należeć. Nie idzie tu koniecznie o nagrodę lecz o wprawę.

Iskierkę z cichego kącika pochwalić tylko możemy, że stosując się do swego ładnego pseudonymu, spełnia powinności chrześcijańskie cicho, w kąciku własnym.

Pokrzywa ucieszyła nas bardzo liścikiem, bośmy się już za nią stęsknili. Nowy pseudonym jest niemożliwy, sama to przecież Pokrzywa zrozumiała.

Gwiazdeczka z nad Wilgi, pomimo tych wszystkich ważnych zajęć, powinnaby się zdobyć na dłuższy liścik, tymczasem i za ten króciutki dziękujemy.

Kalinę z nad Warty najpierw prosimy, aby dobremu ojczulkowi swemu podziękowała za to, co tak serdecznie a tak prawdziwie powiedział. Widać odrazu, że Kalinka język ojczysty kocha i gorliwie go się uczy, bo liścik napisany porządnie i bez żadnej omyłki. Radziłyśmy podobnych odbierać jaknajwięcej. A jak też trafnie odgadła Kalinka, czego najwięcej pragnie ta, którą nazywa „kochaną panią” i tego jęj właśnie życzy. Oby się to życzenie spełniło.

Pstrąga trzymamy za słowo, póki pora, niech Pstrąg pisuje liściki i odpowiedzi na zadania, bo gdy raz złowią go w sieci szkolne, nie będzie na to czasu.

Gronostaj, Soból i Bóbr chcieli redakcyą złapać na pomyłce i sami się pomylili, bo ta ozdoba, to *kutas*, jak się już zresztą w rozwiązaniu naszym okazało.

Swywnolkowi tymczasem serdecznego całuska przesyłamy, nam właśnie o to idzie, aby kochane dzieci pisały same to co myślały i tak, jak umieją.

Mimoza długo się nie odzywała, ale lepiej późno niż nigdy. Pseudonymu nie pozwoliliśmy zabrać nikomu Mamie ukłony przesyłamy.

Sarenki w Okuiarach nie potrafimy objaśnić, czy wypracowanie odebrane, bo trzeba by przejrzeć ogromne paki tych wypracowań, na co czasu nie mamy obecnie. Wkrótce się to jednak okaże.

Skowronek z nad Narwi pisze czysto i porządnie, nie możemy też sobie przypomnieć, czy zwracaliśmy kiedy uwagę na jego kaligrafiją, terazniejsza nic nie pozostawia do życzenia. Łamię główkę wydrukujemy.

Buleczka z masłem nie przysłała adresu, więc nie wiemy o jaka nagrodę idzie. Upominając się o coś, trzeba koniecznie dodać nazwisko i adres.

Czarnulka powinnaby podróż swoją opisać, a zapewne zajęłoby to wszystkich czytelników naszych, bo mało komu zdarzyło się prawdopodobnie zwiedzać tak oddalone okolice.

Zręczny Zajacek od dziś zaliczony jest do grona korespondentów, bardzo mu radzi jesteśmy.

Jar ukraiński musi nam przesłać prawdziwe nazwisko, jeżeli chce korespondować z innymi czytelnikami. Nie wiemy nawet czy jest panienką czy chłopcem, chociaż pseudonym męzki.

Incognito może pozostać przy tym pseudonymie, którego nikt nie wybrał. Łamię główkę zamieścimy.

Kochana Szara Myszko z Siedlec! Wnoszę z twego pseudonymu, że jesteś moją kuzynką. Poznałyśmy się parę lat temu, ty się nazywasz Mania, masz dwie starsze siostry, Z. i S. i braciszka E. wszak prawda? Ja mam siostrzyczkę Zosię i braciszka Władzia, bardzo bym rada za pośrednictwem naszych kochanych Wieczorów pisywać do ciebie. Zgadnij, kto jestem? Mewa z nad Bałtyku.

Droga Cyganezko z nad Wisły! Mimo obietnicy, twój list jeszcze się nie ukazał w żadnym z numerów naszego Pisemka. Jak spędziłyście Święta? czy wesoło? my bardzo. Odpisz mi jaknajprędzej przez Wieczory lub pocztę. Twoja Pokrzywa.

Lisie z Mazowsza! Pseudonym twój, jak i nasze, przypomina piękne futro, przeto chcielibyśmy się z tobą poznać. Chodzimy do gimnazjum II-go. Donieś nam co o sobie. 14 letni Gronostaj, 13 letni Soból i 12 letni Bóbr.

Kochana Sarenko z nad Morocz! Bardzo mi się podoba twój pseudonym, gdyż nadzwyczaj lubię twoje imienniczki, mam nawet dwie oswojone. Napisz mi jak ci imię, ile masz lat i rodzeństwa. Mnie imię Irena, mam 2 braci i lat 13. Twoja Sarenka w okularach.

Kochany biały Szczurku! Bardzo się ucieszyłem twoim listem, gdyż to pierwszy list który odebrałam przez Wieczory. Ja pisałam już raz do jednego chłopczyka, ale mi nic nie odpowiedział. Zgadamy się, bo i mnie najwięcej podoba się Karwosia a potem Poza domem. Proszę cię, mój Szczurku, napisz mi jak ci na imię i gdzie mieszkasz, a może się domyślę kto jesteś. Buleczka z masłem.